



Bogdan Danowicz PANI NINA

Poznałem ją osobiście w roku 1955 po premierze „Intrygi i miłości” Fryderyka Schillera w Teatrze Polskim w Poznaniu. Ówczesny dyrektor tego teatru, nie żyjący już, Aleksander Gassowski sprowadził artystkę wtedy do Poznania, aby powtórzyła w nim swoją warszawska kreację Lady Milford. A moja recenzja z tej sztuki była druga w ogóle moja publikacja o teatrze i ukazała się w poznańskim „Głosie Wielkopolskim”. Oto, co pisałem wówczas m.in. o roli Niny Andrycz: „Romantyczna kurtyzana w guscie swojej epoki, w miarę szlachetna i patetyczna, drapieżna i wyrafinowana, rządcza i uległa. W sypialniach takich kobiet rodziły się arcydzieła literackie i akty polityczne o doniosłej wadze. Kto wie, czy mieliśmy dziś Konkursy Chopinowskie, gdyby nie George Sand...” Pamiętam, iż jeden z moich poznańskich czytelników oburzył się na to ostatnie sformułowanie pisząc w liście do redakcji:

„To skandal, jak można wywodzić cały talent Chopina z sypialni George Sand!” Potem, po kilku latach, przeniosłem się do Warszawy i na wiosnę 1961 roku zainicjowałem w teatrze Domu Wojska Polskiego bardzo osobliwe spotkania z aktorami, organizowane prawie nazajutrz po jakiejś znaczącej premierze. I w ten sposób sprowadziłem tam po premierze „Marii Stuart” Słowackiego w Teatrze Polskim Ninę Andrycz, niezjącego już też ex-poznaniaka Władysława Hancze (Botwela) i pana Orzechowskiego (Pazia)... Aktorzy przyjechali do teatru DWP już ucharakteryzowani i w kostiumach, aby odegrać w nim bodaj ponad półgodzinny fragment tej sztuki. A ja, przed podniesieniem kurtyny, wychodziłem przed nią i wygłaszałem, stosowna do tego fragmentu przedstawienia, krotką prelekcję, ale ponieważ je-

stem gaduła, zagadałem się przed tą kurtyną. W pewnym momencie poczułem, jakby ktoś już ponad miarę zniecierpliwiony, zaczął dotykać, od tej drugiej strony kurtyny, moich pleców... Ano był to nieomylny znak, abym jak najprędzej doprowadził do finału moja óracja. Potem, po ostatecznym już opadnięciu kurtyny, kiedy poszedłem do garderoby Niny Andrycz, rzekła mi z wymówką w głosie: „Ależ, panie Bogdanie, ci ludzie przyszli tu głównie bo to, aby mnie oglądać i słuchać”. W tym momencie ktos zapukał do garderoby, otworzyłem drzwi, a przed nimi uformował się już prawdziwy ogonek do Niny Andrycz. Powiedziałem jej o tym, a ona na to: - „Ach, to pewnie znów petenci w najrozmaitszych sprawach do pana premiera...”

Od tej pory nie spotykałem się już często z Niną Andrycz, aż tu nagle, przechodząc obok największej księgarni warszawskiej „Uniwersus” postanowiłem wstąpić, aby sprawdzić co tam dzieje się z moją książką pt. „Był Cyrk Olimpij-

ski...” Okazało się, że nadal leżała na stole w siedzawie książek traktujących np. o historii palanta lub karate. Zawsze wtedy, kiedy widzę moją książkę w księgarniach w „dziale sportu” proszę o przełożenie jej do „działu sztuki”, gdzie leża lub stoja książki np. o Mozarcie lub zabytkach sakralnych. Ale tym razem machnąłem reka nad tą translokacją mojej książki, bo oto zupełnie nieoczekiwanie weszła do „Uniwersusu” pani Nina. Kiedy ja ujrzałem zdawało mi się, jakbym pozegnał ją dopiero wczoraj. Ta sama niezwykła — dystygnowana dama o smukłej, wyprostowanej jak trzcina sylwetce i z tym samym co dawniej, żywym błyskiem w oczach, ktore, zanim ona sama otworzyła usta, już coś mowity lub obwieszczaty. Podszedłem do niej i rzekłem: - *Witam piękna kobieto!* - Dojrzałem zaskoczenie w jej oczach i potem, kiedy wymieniłem moje nazwisko, Nina Andrycz odparła, kładąc w poprzek twarzy pod jej wyrazistymi oczami, swoja dłoń - *O, tu do linii oczu to pana pamiętam, ale niżej, tak, niżej to pan bardzo się zmienił, zeszczuplał.* Potem wypisała mi dedykację na kupionym przeze mnie egzemplarzu jej poetyckiego tomiku „Drugie spotkanie z diabłem”, potem zapytała, czy mam samochód i czy mogę odwieźć ją tym samochodem do domu, - *Ależ - zachnąłem się - ja tu mieszkam blisko, przy rągu Belwederskiej, więc po coz mi samochód.* Ba, powiedziałam to wykrętnie, bo nie chciałem przyznać się, że nie mam jednak własnego samochodu... A Nina Andrycz zbiegła jak gazela z prowadzących do „Uniwersusu” wielostopniowych schodów, ja zaś odprowadzałem ją wzrokiem, który utrwał jej zgrabną kibić i jej zwinne nogi.

Potem w domu rozpocząłem po raz pierwszy czytać wiersze Niny Andrycz ze wspomnianego tu już tomiku i medytować nad nimi. Oto ostatni z nich.

HOROSKOP

Panu Robertowi Walterowi

Urodziłem się pod Skorpionem Zodiaku znakiem jesiennym.

Jestem pomyślana na: trudne sytuacje wielkie rewolucje dzieciństwo w śniegu młodość we krwi krociutkie wniebowstąpienie jednej miłości szaleństwo długiej pracy ży.

Los mi zaprogramował spełnienie wielu pragnień - muszle Martwego Morza - zmieniające się maski zmieniających mężczyzn bezdomność w domu samotność w świecie egzotyczne podróże szczęśliwą śmierć.